

Tadeusz Biliński

Bolesne kąsanie Afganistanu

Palestra 46/9-10(537-538), 103-108

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Tadeusz Biliński

Bolesne kłusanie Afganistanu

Po jedenastym września Afganistan, jakby z zupełnego niebytu, pojawił się nieoczekiwanie w samym centrum międzynarodowej polityki. Po wojnie afgańskiej, wycofaniu się Rosjan i późniejszym rozpadzie ZSRR świat miał ważniejsze sprawy na głowie. W mediach wracano do Afganistanu w kontekście kolejnych obciętych rąk, publicznych egzekucji przeprowadzanych przez rządzących krajem Talibów, albo, wreszcie, wysadzenia w powietrze starożytnych posągów Buddy w Bamiyan. Nie ma w tym chyba nic specjalnie dziwnego, bo o wydarzeniach w większości krajów media nie informują, ten przywilej zachowując dla najważniejszych, albo dotkniętych jakimś szczególnym nieszczęściem. Do nieszczęść spadających na Afganistan wszyscy się już przyzwyczaili. Trudno się zresztą dziwić. Po wycofaniu się Rosjan, Afgańczycy zrobili wszystko co w ich mocy, żeby swój własny kraj doszczętnie zniszczyć i splądrować. Uzbrojone grupy watazków podzieliły Afganistan na dziesiątki na wpół udzielnych księstw tak, że nawet poruszanie się między różnymi częściami wciąż formalnie jednolitego państwa było albo całkiem niemożliwe, albo kosztowne i niebezpieczne. Zniszczono przemysł wydobywczy i wytwórczy, drogi, szkoły, uniwersytety i szpitale. Nie podjęto żadnych działań dla usunięcia milionów min pozostałych po sowieckiej inwazji. Ugrupowania walczące o dominację nad stolicą zrównały Kabul z ziemią, nienaprawiane kanały nawadniające i trwająca latami susza sprowadziły na ten kraj, nigdy nie najbogatszy, ale w zasadzie nie cierpiący na brak żywności, klęskę głodu. Afgańczycy, starożytny i dumny lud, zaczęli w niemałym stopniu polegać na zagranicznej, głównie zachodniej, pomocy humanitarnej. W tym chaosie, w początku 1996 roku pojawili się uczniowie pakistańskich szkół religijnych – Talibowie.

Mówiono, że fenomen Talibów to „amerykański pomysł, saudyjskie pieniądze i pakistańskie wykonanie”. Z dala od kamer i reflektorów prowadzono działania dla

ustabilizowania sytuacji w Afganistanie, poddania całego kraju jednej, scentralizowanej władzy. Powód był w zasadzie dość prosty – Afganistan, choć niezbyt duży i niezbyt ludny jest ważny dla całej Azji Środkowej jako kraj tranzytowy. Nie sposób przedostać się z państw byłej radzieckiej Azji do Pakistanu lub Indii, ani do ciepłych mórz Oceanu Indyjskiego nie przechodząc przez Afganistan. Nie sposób też przewieźć towarów, na które jest zapotrzebowanie, przede wszystkim zaś ropy naftowej znad Morza Kaspijskiego. To znaczy, można by, gdyby inne były stosunki amerykańsko-irańskie, ale przy takich jakie są obecnie żadna poważna firma grosza nie zainwestuje w tranzytowy ropociąg, który przechodziłby przez terytorium tego kraju.

Talibowie nie wszystkim się jednak spodobali. Azjatyckim sąsiadom z północy ponieważ głosili ten rodzaj islamu, który postsowieccy przywódcy tych krajów uznali za niebezpieczny. Chinom, bo wspierali ujgurskich separatystów sprzeciwiających się chińskim władzom w Xinjiangu, zachodniej prowincji Chin. Jako sunnici zwalczający szyicką mniejszość nie cieszyli się sympatią Iranu, wreszcie Indie nie lubiły Talibów, ponieważ na terenie Afganistanu założono obozy szkolące powstańców do walk w Kaszmirze. Nowe władze Afganistanu popierał w gruncie rzeczy tylko Pakistan oraz leżąca daleko Arabia Saudyjska. Nie minęło wiele czasu a ten biedny, zniszczony wojnami kraj stał się łatwym łupem dla międzynarodowych terrorystów i islamskich fundamentalistów, którzy przekształcili go w bazę dla swojej międzynarodowej działalności. Celem była walka ze światem zachodu, a przede wszystkim Stanami Zjednoczonymi.

Do problemu afgańskiego bardzo intensywnie przyczyniali się jego sąsiedzi, bliżsi i dalsi i to oni, w niemałym stopniu, ponoszą odpowiedzialność za pożałowania godny stan tego pięknego niegdyś kraju. Ingerencja nie zaczęła się, naturalnie, ani wczoraj, ani dziś. Pozycja Afganistanu w XIX wieku była taka sama jak obecnie, również wtedy stanowił magistralę między wschodem i zachodem. O Herat, przygraniczne zachodnie miasto znajdujące się dziś w Afganistanie walczyli ze sobą Persowie, Afgańczycy, Rosjanie i Brytyjczycy, sojusze zmieniano przy tym jak rękawiczki. Ale i sami Afgańczycy byli podzieleni. Tadźycy i Uzbegy, stanowiący większość mieszkańców północy nienawidzą Pasztunów zamieszkujących południe, którzy przez stulecia rządili krajem. W tej sytuacji nietrudno było wygrać jednych przeciwko drugim, w której to grze przegranymi byli z reguły Afgańczycy. Metodę wzajemnego judzenia z powodzeniem stosowali wielcy sąsiedzi, Rosjanie i Anglicy. Sięgnijmy do memuarów polskiego podróżnika i odkrywcy, Bronisława Grąbczewskiego, który był jednocześnie agentem carskiego wywiadu. Otóż, cesarz Aleksander III, jak napisał Grąbczewski, „znużony ciągłymi intrygami Anglików w sferze polityki zagranicznej chciałby ich „boleśnie ukąsić”. Po dłuższych deliberacjach w Petersburgu postanowiono, że kąsać Anglików powinni Afgańczycy, uznając, że najlepiej nadawałby się do tego brat rządzącego wtedy Afganistanem emira Abdurachmana, Ishak Khan.

Ishak Khan, mianowany przez emira (tj. władcę Afganistanu) namiestnikiem w północnej części kraju, postanowił usamodzielnić się i stworzyć własne państwo,

sprzymierzone z Rosją. Plan nie powiódł się, wojska emira rozbiły buntowników, zaś Ishak Khan z grupą najbliższych współpracowników schronił się na terenie Rosyjskiego Turkiestanu. Teraz Rosja, dla utarcia Anglikom nosa, postanowiła wesprzeć powstanie stronników Ishak Khana. „Taki element”, pisał Grąbczewski, „zaopatrzone w broń i pieniądze, mógł nawarzyć gorącego piwa Anglikom, którzy za cenę ogromnych wysiłków, wypłacając emirowi Abdurrachmanowi zawrotną na owe czasy sumę 1 200 000 rupii miesięcznie, utrzymywali protektorat swój nad Afganistanem, tworząc buforowe państwo między Rosją a Indiami”. Grąbczewski uważał, że na początek wystarczyłoby dać Afgańczykom 1000 karabinów Berdana, 100 tys. ładunków i 10 tys. rubli srebrem, ale władze zwierzchnie, dla większego efektu pomnożyły to przez dziesięć zaopatrując separatystów w 10 tys. karabinów, milion naboji i 100 tys. rubli srebrem, po czym przerzucili ich przez Amu Darię na teren Afganistanu. Cały czas, organizując to powstanie Petersburg trzymał się wersji, że Ishak Khan z towarzyszymi „zbiegł w niewiadomym kierunku” władze rosyjskie zaś prowadzą jego „intensywne poszukiwania”.

Początkowo powstanie odniosło sukces i ambitny książę zdobył Mazare Sherif. „Zająwszy w ciągu miesiąca”, pisał dalej Grąbczewski, „cały obszar ogromnej prowincji, Ishak Khan kilkakrotnie zwracał się do Rosji, oddając się pod jej protektorat i prosząc o przysłanie broni, a szczególnie dział połowych i górskich, których nie miał zupełnie i kupić nie mógł, bo Anglicy nie sprzedaliby ich, Chińczycy zaś i Bucharczycy sami nie mieli. Rząd rosyjski, kokietując Europę swoją bezinteresownością w tej sprawie, wytargował od Anglii jakieś drobne ustępstwa na Bliskim Wschodzie, sprzedając za przystawioną miskę soczewicy możliwość zajęcia ogromnych obszarów aż do Hindukuszu i bezpośredniego wpływu na kieszeń Anglii – Indie. O Ishak Khanie zapomniano i nie otrzymał on obiecanej pomocy”.

Minęło kilka miesięcy i zaczął się drugi akt tej ponurej tragedii. W czerwcu 1889 roku wojska rządowe, uzbrojone w nowoczesny sprzęt przeszły przez góry i w ciągu miesiąca pobiły oddziały Ishak Khana. Sam pretendent uciekł na północny brzeg Amu Darii szukając w Samarkandzie opieki władz rosyjskich. Rebeliantów, pozostawionych na pastwę żołnierzy Abdurrahmana czekał jednak straszny los. Grąbczewski na własne oczy widział i opisał skutki rozprawy wojsk rządowych z powstańcami. „W ciągu trzech dni spotykaliśmy bezustanny pochód uchodźców uciekających do Rosji przed okrutną rozprawą Afgańczyków. Trzy dni szliśmy drogą, usłaną trupami ludzi i zwierząt, które gnijąc tak zatrwały powietrze, że wyprawa moja na noclegi musiała zatrzymywać się daleko od drogi. Wszędzie spotykaliśmy chorych, ranionych lub wycieńczonych drogą; długim sznurem ciągnęły kobiety z dziećmi u piersi lub na plecach. Słowem, na każdym kroku spotykaliśmy obrazy takiej rozpaczki, jaka możliwa jest tylko w Azji, gdzie jeden władca, zawojowawszy państwo drugiego, wycina w pień całą ludność i kraj obraca w pustynię. ... W wiosce Sarez, miejscu urodzenia Dżernejla Seida Ali Khana, który z pułkiem swoim przeszedł na stronę Ishak-Chana, a potem wpadł w ręce emira, stała klatka z żelaznych prętów z gnijącym ciałem pułkownika; ciało umieszczono w ten sposób, że

głowa sterczała nad klatką, a ciało w klatce, tak, że człowiek w klatce nie mógł nawet usiąść. W tej klatce obwożono Seida Ali Chana po większych miastach Czar-Wilajetu, nie dając mu spać, karmiąc tylko produktami słonymi i nie dając wody. Po śmierci klatkę wraz z ciałem odesłano do Sarezu i zabroniono pogrzebać. ... Na Ali-czur Pamirze ekspedycja widziała całe katakumby trupów Wachańczyków, którzy uciekali w stronę Chin. Oddział wojsk chińskich pod dowództwem Dżan-da-Zenia odpędził ich z powrotem i oddał w ręce Afgańczyków, którzy uchodźców wymordowali, a trupy zabronili chować, zostawiając na pożarcie zwierząt, co według religii muzułmańskiej jest najwyższą hańbą". „Tak zakończyło się”, konkluduje nie bez ironii swoją opowieść Grąbczewski, „bolesne ukąszenie” Anglików przez cesarza Aleksandra III, którego Rosjanie po śmierci nazwali „Mirolubcem”.

Minęło kilkadziesiąt lat a w Afganistanie pojawili się nowi gracze, gotowi kąsać afgańskimi rękami. Najważniejszym z nich był cesarz Niemiec Wilhelm II, którego minister spraw zagranicznych, Arthur Zimmerman opracował interesujący plan wykorzystania podczas I wojny światowej muzułmańskiej niechęci wobec Brytyjczyków w celu uzyskania dominacji na Środkowym Wschodzie, a być może, gdyby wszystko dobrze poszło, również w Indiach. Koncepcja Zimmermana zakładała wciągnięcie do wojny neutralnej wtedy Turcji, zdobycie przez Niemców zwierzchności nad Persją i skłonienie władcy Afganistanu do ataku na Indie Brytyjskie. Miałoby to zmusić Londyn do przerzucenia części swoich wojsk z frontu zachodniego i Bliskiego Wschodu do obrony Indii ułatwiając tym samym Niemcom operacje w Europie. W lipcu 1915 roku niemiecka ekspedycja licząca około stu ludzi wyruszyła z perskiego Isfahanu do Kabulu. Na jej czele stał kapitan Oskar von Niedermayer, który wraz z towarzyszami miał przed sobą prawie dwa tysiące kilometrów bezwodnej, kamienistej i piaszczystej pustyni. Wymarsz w środku lata był oczywiście szaleństwem, ale Niedermayer nie miał wyboru, ponieważ cesarskie rozkazy były jasne – dotrzeć do Kabulu jak najszybciej. Poza suchą pustynią, jadowitymi żmijami i skorpionami najpoważniejszym zagrożeniem był Kozacki Korpus Ochrony na północy granicy persko-afgańskiej i korpus kawalerii wielbłądziej brytyjskiej armii indyjskiej na południu. Niemieckie plany nie były już wtedy szczególną tajemnicą dla dziesiątków brytyjskich i rosyjskich agentów działających wówczas w Persji. Alianci szybko zorganizowali szczelną, jak im się wydawało, barierę, przez którą nawet mysz nie powinna się do Kabulu prześlizgnąć. A jednak Niedermayerowi się udało.

Podróżowali głównie nocami, „by uniknąć”, jak pisał później Niedermayer, „straszliwie palącego ognia irańskiej pustyni i brytyjskich szpiegów” napotykając jednak inne, niemniej niemiłe przeszkody. Pewnej nocy stwierdzili, że poruszają się wśród setek jadowitych węży, kiedy zaś, po ukąszeniu padł jeden z koni, dowódca wyprawy wysłał przodem ludzi, którym nogi owinięto grubymi skórami, żeby kijami i biczami rozpędzali węże. Następnego ranka ekspedycja przeżyła inwazję skorpio-

nów, które schroniły się przed słońcem w ubraniach uczestników wyprawy. Kryjąc się przed rosyjskimi i brytyjskimi oddziałami Niemcy zdecydowali się na desperacki krok – przejście przez irańską pustynię Kafir, jedno z najniebezpieczniejszych miejsc na ziemi. Brytyjczycy nie pilnowali tego odcinka granicy nie sądząc, by ktokolwiek zdecydował się na takie szaleństwo. Ale ryzykancki krok niemieckiego dowódcy powiódł się i po kilku tygodniach niezwykle uciążliwej drogi ekspedycja wkroczyła na teren Afganistanu. „Wszystko teraz zależy od stanowiska emira”, pesymistycznie kwitował wydarzenia wysoki urzędnik indyjskiego MSZ.

W samym Afganistanie niemieckie wezwania do świętej wojny nie pozostawały bynajmniej bez echa. Brytyjska dominacja nie cieszyła się sympatią, dlatego afgańska opinia publiczna była w poważnym stopniu proniemiecka. Nastroje antybrytyjskie podsycał wpływowy przywódca bractw sufich. W gruncie rzeczy tylko emir Habibullah z wąskim gronem doradców zdając sobie sprawę z rzeczywistej potęgi brytyjskiej, oddalenia Niemiec i Turcji rozumiał jakim szaleństwem politycznym byłoby powiedzenie się po stronie Wilhelma. Niemniej, nie widział żadnego powodu by nie wykorzystać ekspedycji Niedermayera dla swoich własnych celów. Gra emira, ściśniętego między Rosją i Wielką Brytanią wyraźnie pokazuje, że nawet mały i słaby kraj, położony między potęgami może wyciągnąć z tego korzyści dla siebie, jeśli tylko potrafi postępować sprytnie. Taktyka Habibullaha była prosta: grał na Brytyjskich obawach, że może nie oprzeć się naleganiom „ulicy” i wraz z Niemcami ogłosi antybrytyjską świętą wojnę. Nie miałyby ona naturalnie żadnych szans powodzenia, ale spowodowałyby dla Anglików nieliczne komplikacje, których woleli uniknąć. Dlatego Brytyjczycy byli gotowi płacić gotówką, dostawami uzbrojenia i ustępstwami politycznymi wobec Afganistanu. Zasadnicze niebezpieczeństwo, z punktu widzenia Habibullaha polegało na tym, żeby nie przedobrzyć i nie spowodować, na przykład, prewencyjnego ataku.

W tej grze emir okazał znaczne mistrzostwo. Przyjął Niemców niezwykle przyjaźnie, z istic wschodnią gościnnością już w Heracie obsypując podarunkami. W Kabulu umieszczono ich w luksusowej rezydencji spełniając każde życzenie oprócz najważniejszego – audiencji u emira, który najwyraźniej uznał, że byłoby wskazane, aby obydwie strony, niemiecka i brytyjska, nieco skruszały. Nie mogąc doczekać się audiencji niemieccy emisariusze zastosowali strajk głodowy, broń, która okazała się skuteczną. Anglicy z kolei zdecydowali nagle, że Król i Cesarz Indii może, bez straty twarzy, napisać własnoręcznie (sic!) list do emira Afganistanu, z którym wcześniej korespondował za pośrednictwem wicekróla Indii, list zatytułowany „Mój Drogi Przyjacielu”.

Habibullah wysłuchał Niemców, którzy zapewnili, że odwrotnie niż Brytyjczycy i Rosjanie, cesarz Wilhelm uważa Afganistan za kraj niepodległy i suwerenny i zaproponował formalne ustanowienie stosunków dyplomatycznych. Habibullah ani nie przyjął ani nie odrzucił tej propozycji. Na zakończenie audiencji zadał jednak Niemcom dwa trudne pytania: jak wyobrażają sobie wojnę plemiennych wojowni-

ków z nowocześnie uzbrojoną europejską armią brytyjską i czy Afganistan może oczekiwać pomocy wojsk tureckich i niemieckich? Na to ostatnie pytanie niemieccy emisariusze nie znaleźli odpowiedzi, bo przecież cała idea wzniesienia na wschodzie jihu – świętej wojny, miała za zadanie odciążyć, nie zaś angażować dodatkowe siły niemieckie.

Niemiecka, nieudana przygoda w Afganistanie wskazuje, że afgańscy przywódcy początku XX wieku potrafili zdobyć się na polityczny rozsądek i realizm, w gruncie rzeczy – na wielkość. Nie dali się sprowokować i ponieść hasłom świętej wojny. Postępowali jak mężowie stanu, nie zaś plemienni kacykowie, których ostatecznie, w XXI wieku, użył do swoich celów zwykły, choć bogaty i inteligentny saudyjski milioner o imieniu Osama bin Laden. Za tę głupotę, brak wiedzy i odpowiedzialności naród afgański zapłacił już bardzo wysoką cenę.